

NIEDOKOŃCZONA SEKSUALNA REWOLUCJA

Agata Araszkiwicz

„Rewolucja seksualna jest do niczego. Nie przyniosła kobietom spodziewanych korzyści” – pisze Naomi Wolf w swej książce *Wagina. Nowa biografia*¹. W jej rozumieniu seksualna rewolta 1968 roku została pomyślana jako konstrukt skupiający się na potrzebach zmysłowych w sposób mechanistyczny, a jej wzorem było „zwykle [męskie] pójście do łóżka” w sposób wolny i spontaniczny, bez zobowiązań. W teorii być może wydaje się to równościowe i feministyczne, gorzej z praktyką. Co trzecia Amerykanka cierpi na za niski poziom pożądania, a co dziesiąta na jego całkowity zanik. Według Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego o połowę więcej kobiet niż mężczyźni ma chroniczne „zaburzenia seksualne”, określane jako „zespół obniżonego popędu płciowego”. Od czasów rewolucji seksualnej liczby te znacznie wzrosły (wedle tych samych danych co piąta para w ogóle nie uprawia seksu). I dalej: „W naszych wyzwolonych czasach, gdy mamy za sobą rewolucję seksualną i drugą falę feminizmu, gdy kobiety mogą robić w seksie «wszystko», mogą być «niegrzeczne», nie narażając się na napięt-

nowanie – kiedy każdą fantazję można spełnić, naciskając przycisk pilota, a kliknięcie myszką wystarczy, żeby zamówić sobie najbardziej wymyślne seksualne gadżety – zaskakująco wysoki odsetek kobiet nie czuje pożądania, nie osiąga regularnie orgazmów albo jest niezadowolony ze swojego życia seksualnego”.

Wolf wysuwa tezę, że pół wieku po seksualnej rewolucji kobiety masowo cierpią na „coś w rodzaju seksualnej, czy może raczej waginalnej, depresji”, lub też: „miliony kobiet zostały w sensie seksualnym skrzywdzone”.

W interesujący sposób wtóruje temu inna amerykańska autorka, Rebecca Traister, która w swoim eseju pyta: „Dlaczego seks za obopólną zgodą ciągle może być zły?”², opisując doświadczenia kobiety, wykładowczyni gender studies, afirmującej seksualną otwartość i swą queerową tożsamość. Po pewnej imprezie u przyjaciół przyjęła propozycję grupowego seksu, który był przyjemnym doznaniem, dopóki nie padły pogardliwe słowa jednego z jego uczestników. Kobieta doznała dziwnego stanu upokorzenia i wielomiesięcznej depresji, choć przecież wszystko było okej, nic się nie stało. Wolny seks, konstatuje Traister,

¹ Przy tworzeniu tego tekstu odnoszę się do mojego eseju *Wagina i mózg*, opublikowanego w internetowym wydaniu Nowej Orgii Myśli, <http://nowaorgiamysli.pl/index.php/2016/06/07/wagina-i-mozg-coz-kobietom-po-rewolucji-seksualnej/> (12.03.2018).

² R. Traister, *The Game Is Rigged*, The Cut, 20.10.2015, <https://www.thecut.com/2015/10/why-consensual-sex-can-still-be-bad.html> (12.03.2018).

pozostaje ostatnim bastionem seksizmu, gdzie ciągle komunikuje się kobietom, że to nie jest ich domena i że podlegają męskiej dominacji i kontroli. Jaki rodzaj władzy operował rozegraniem scenariusza tej sytuacji? I czy etyczny seks nie powinien się rozpoczynać od dekonstrukcji nierówności sił w układach związanych z seksualnością? Feminizm drugiej i trzeciej fali przyswoił sobie formułę afirmacji pozytywnego seksu zawsze, gdy jest on konsensualny. „Nie tłumaczy to jednak – pisze Traister – dlaczego wiele młodych kobiet zastanawia się, czemu czują się tak «wyruchane przez seks» [fucked by fucking]”.

Idzie z tym w parze galopująca nieświadomość i niewiedza związane z kobiecą budową anatomiczną, co można zaobserwować u młodszych pokoleń. W tym niedostatku kumuluje się całe zachodnie seksualne stłumienie i lęk przed ciałem (a także przed kobietami), na którym opiera się nasza kultura i który przez seksualną rewolucję nie został zdementowany. Na poziomie popularnym drzemią w tej niewiedzy wszelkie seksuologiczne klisze prasy poradnikowej na temat tego, jak ma wyglądać „poprawny” kobiecy orgazm i jej wieczna gotowość na seks. Obrazy pornograficzne, łatwo dostępne i pozbawione cech wyjątkowości, stanowią dziś największy rezerwuar społecznych wyobrażeń związanych z edukacją seksualną (przy równoczesnym upadku wszelkich innych instytucji z nią związanych – więzi rodzinnych czy szkoły). Od czasów rewolucji seksualnej częstotliwość kontaktów mężczyzn i kobiet z pornografią wzrosła niewyobrażalnie, a umiejętność wyrażania potrzeb seksualnych i skala ich spełnienia gwałtownie spadła. „Seksualni «rewolucjoniści» lat 60. uważali, że pornografia wyzwoli libido” – pisze Wolf. Tymczasem technokratyczność seksualnej rewolucji zabiła jej ducha. Ani powszechna dostępność szybkiego, „męskiego” seksu, ani wszechobecność pornografii nie są w stanie zapewnić seksualnej satysfakcji i poczucia spełnienia kobietom.

To, co w kulturze zachodniej jest niebezpieczne, to uprzedmiotowienie kobiet i rozumienie męskiego popędu jako pro-

wadzącego do dominacji, a nawet śmierci (symbolicznej, duchowej lub dosłownej) kobiety. Z wolności trzeba umieć korzystać, trzeba umieć ją afirmować, a kluczy do specyficznych hieroglifów ludzkiego spełnienia, do koniecznej samoświadomości i wiedzy na temat naszej intymności rewolucja seksualna jako taka nie daje. Jej sztandarowy produkt – taśmowo zrytmizowany stosunek seksualny, utrwalany w nieskończoność w obrazach pornograficznych – promuje obraz seksu jako zbiorowej męskiej, opartej na całkowitej kontroli masturbacji. Na rynku kobiet mężczyźni „zaliczają”, a „wyzwolone kobiety”, które czują się zmuszone, by grać w tę grę, zagubione i znieważone, przeżywają katusze. Cierpi ich emocjonalność, psychika, duchowość, a przede wszystkim potrzeba nawiązywania relacji. Kobiety lubią seks, tak samo jak mężczyźni, ale żyją w kulturze, która ciągle podporządkowuje je męskiej dominacji. Matryca wzorów uwodzenia, pożądania i rozkoszy to ostatni, najsilniejszy bastion patriarchy. Dzięki rewolucji seksualnej zmienił się – i ciągle zmienia – paradygmat tożsamości kobiety: nikogo już nie dziwi, że jest ona czynnym seksualnie podmiotem, a jej potrzeby w sferze intymnej są równie silne jak męskie i także podobnie „wzorcotwórcze”. Mimo tego kobiecość ciągle się spełnia w swoistym stłumieniu i nieświadomości, w poczuciu całkowitego niedopasowania. Kobiety nadal noszą niewidzialne gorsety.

Za kulturową ikonę stłumienia kobiecej rewolucji seksualnej można uznać best-sellerową powieść E.L. James (czyli Eriki Leny Mitchell – zwróćmy też uwagę na neutralny płciowo XIX-wieczny w stylu pseudonim, który miał zwiększyć popularność publikacji) *Pięćdziesiąt twarzy Greya* i jej kolejne dwa odcinki. Akcja tej książki stanowi swoiste powtórzenie patriarchalnego schematu, wedle którego władczy, ale atrakcyjny, bogaty mężczyzna uwodzi młodszą, niewinną kobietę. Intryga powieści jest tak powtarzalna, że miałyby ona wszelkie szanse, żeby przejść bez echa, gdyby nie jej... seksualny potencjał. W narrację romansową wpisano po raz pierwszy – nazwijmy go w ten sposób – „element

pornograficzny”. Świat fantazji sadomasochistycznych zostaje opisany ze szczegółami – bogato udekorowany rekwizytami, scenami, kontraktami i szeroką paletą odczuć głównej bohaterki, poznającej erotyczny wymiar bólu. Poprawność tego powieściowego świata ma swą kulminację w scenie końcowej – ból, który Grey pragnie zadawać w akcie seksualnym, powoduje w końcu odejście bohaterki. Cała intryga obfituje w nakreślone z talentem szczegółowe opisy czynności seksualnych. Problem w tym, że rewolucja seksualna, wyposażając powieść w erotyczne gadżety, w żaden sposób nie wpłynęła na schemat narracji. Poszerzył się rezerwuuar czynności seksualnych, o których możemy już czytać bez wstydu, ale poza tym nic się nie zmieniło. Relacja między mężczyzną a kobietą pozostaje niesymetryczna.

Wynika z tego jasno, że spuścizną seksualnej rewolucji 1968 roku pozostaje nie tyle obalenie, ile wprowadzenie w ruch seksualnej maszyny nierówności. Zniesiona została cenzura i intymne tabu, polegające na wolnej ekspresji męskiego popędu, sformowanego w odpowiedni sposób (zauważmy jednak, że wielu mężczyzn się w tym wzorcu nie mieści). Dzieje się to przede wszystkim kosztem kobiet, które w patriarchalnym społeczeństwie opresyjnych norm są ciągle „skazane” na przeżywanie „nienormatywnych” uniesień, a ich seksualność kojarzy się z negatywnością (odmową/namolnością lub niejasnością). Prawdziwą rewolucją może byłoby nadanie im wreszcie rangi kulturotwórczej, nieograniczonej do niszczenia (przywołajmy choćby egzemplaryczny dla tej tezy, słynny „backlashowy” film *Fatalna namiętność* z 1997 r.). Sięgnijmy głębiej i przywołajmy różne kulturowe konstrukcje i mity zabraniające kobietom wielopartnerstwa, jak choćby starotestamentową przypowieść o Zuzannie i starcach (a co, jeśli Zuzanna, którą potępiają zazdrośni starcy i która może się przed nimi obronić jedynie swą cnotą, miała kochanka? A co, gdybyśmy to zaafirmowali?) albo mit Penelopy, tkającej swoją koszulę w dzień i prującej ją w nocy, aby mieć pretekst do ochrony przed zalotnikami, dybiącymi na nią do powrotu męża (a jeśli Penelopa nie musiałaby już pruć koszuli i mogłaby zdo-

bywać wiedzę o sobie i świecie, przyjmując swoich kochanków, dokładnie tak, jak czyni to w podróży Odyseusz?).

Rewolucję seksualną, tę, która tymczasem się odbywa, możemy określić – parafrazując tezy Freuda, który opisywał rozwój kultury patriarchalnej – poprzez mit hordy pierwotnej, walczącej z Ojcem o to, by mieć dostęp do wszystkich kobiet. Rok 1968, oznaczający młodzieżową rewoltę i dalekosiężne społeczne zmiany (kult młodości, kryzys autorytetu, zniesienie seksualnych tabu itd.), można by opisać jako otwarcie takiego paradygmatu, w którym teoretycznie (i praktycznie, w pewnym sensie, również) mężczyźni zyskują kulturowo usankcjonowany dostęp do wszystkich kobiet. Warto wobec tego postawić pytanie, czy możliwa „waginalna” rewolucja nie mogłaby dotyczyć relacji seksualnych nie tylko w parze, ale także poza związkiem i w innych konfiguracjach. Jednym słowem, czy tabu relacji pozamałżeńskich – bądź „pozazwiązkowych” – nie jest czymś, co powinno skupić (w teorii, bo nie w praktyce, gdzie ma to przecież miejsce) uwagę kobiet. Czy – zważając na złożoność życiowej kondycji, niejednorodną i nieprzewidywalną dynamikę związków, a wreszcie, często wymykający się bezpiecznym strukturom (nawet bez zagrożenia im) albo je przekraczający, fenomen pociągu seksualnego i pożądania – nie powinnyśmy, my, kobiety, mówić o seksualnym spełnieniu w związku, poza nim, albo też w wielu relacjach? Czy nie powinnyśmy mówić o przyjemności, prawie do psychoseksualnego spełnienia, zarówno w narracji miłosnej i romansowej, jak i nawet – jeśli nie: przede wszystkim – poza nimi? •